

Na zawsze?

Za oknem już dawno zapadł zmierzch. Moje ukochane miasto, które zadało mi wiele bólu, a jednocześnie pozwoliło przeżyć tyle szczęśliwych chwil, mieniło się od lamp ulicznych, neonów, reklam i ciepłych snopów światła padających z mieszkań. Od kilku godzin siedziałam na parapacie największego okna w mojej małej kawalerce. Patrzyłam, jak sekunda po sekundzie, minuta po minucie, godzina po godzinie, dzień ustępuje miejsca nocy. Niebo z jasnego, optymistycznie nastrojającego błękitu, przeszło w odcienie czerwieni i fioletu, by w końcu pogрузić się w nieprzeniknionym granacie i czerni, rozjaśnianej blaskiem gwiazd.

Wzięłam do ręki paczkę papierosów mentolowych, która okazała się pusta. No tak, przecież ostatniego wypaliłam jakieś pół godziny temu. Może to znak? Może powinnam nareszcie zerwać z tym okropnym i szybko uzależniającym nałogiem. Rzucę palenie, zmienię mieszkanie, a może i miasto, kupię sobie kota, takiego czarnego, jakie mają czarownice w bajkach i zacznę nowe życie. Przyptyw determinacji i energii szybko mi mija. To dobrze, bo może jednak bym się zmobilizowała i zmieniła swoje życie. A to nie ma najmniejszego sensu. Od dwóch tygodni nic nie ma najmniejszego sensu. On nim był. Całe sto osiemdziesiąt siedem centymetrów mojego sensu życia. Teraz siedzę sama w pustym mieszkaniu i zastanawiam się, czy nie wrócić do rodziców albo nie rzucić tego wszystkiego i wyjechać w Bieszczady.

Tworzyliśmy z Marcinem parę od drugiej klasy liceum. Była to bardzo dobra szkoła w dużym mieście, do której chodziły dzieciaki z bogatych domów, mające w przyszłości zostać prawnikami, lekarzami

światowej sławy, znanymi architektami. No i byłam jeszcze ja, dziewczyna z prowincji z dużymi ambicjami, odrobiną talentu i stypendium, dzięki któremu mogłam zostać jedną z uczennic tej szkoły. Na początku mieszkalam w internacie i nawet mi się to podobało. Po roku przeniosłam się do mojego starszego brata. Rezygnacja z internatu pozwoliła na wynajęcie większego mieszkania dla Michała, do którego się wprowadziłam, dzięki temu miałam bliżej do szkoły, słoików od rodziców nie musieliśmy dzielić już na pół, a oni sami byli spokojniejsi, że starszy brat czuwa, żeby nie stała mi się krzywda. W rzeczywistości miałam zdecydowanie więcej swobody niż w internacie. Michał pozwalał mi na wiele, cały czas oferując wsparcie, którego niekiedy potrzebowałam. Przez dwa lata mieszkania razem, bez opieki rodziców, zbliżyliśmy się do siebie bardziej niż przez jedenaście w rodzinnym domu.

Mam wrażenie, jakby to wszystko było w innym życiu. Chociaż może trochę tak jest. Wtedy byliśmy inni, ja i Marcin. Młodzi, zakochani, tak niewiele wiedzieliśmy o życiu poza szkołą. Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z różnic, które nas dzielą. Żyliśmy od testu do testu i od randki do randki, a największym problemem było oblanie jakiegoś egzaminu. Teraz, jak o tym myślę, w obliczu problemów i zmartwień, które trapią mnie dziś, wydaje mi się to śmieszne. Ale wtedy był to koniec świata. Zawsze definiowałam siebie jako humanistkę, on pozostał ścisłowcem. Uczyłam się na profilu kulturalno-prawnym, rozszerzałam język polski, historię i wiedzę o społeczeństwie, chciałam zostać nauczycielką historii, ba, nawet o tym marzyłam, ale po drodze plany uległy zmianom. Marcin nie przepadał za tymi przedmiotami, zamiast tego lubował się w znieawidzonej przeze mnie matematyce. Wbrew temu, co teraz myślicie, nie poznaliśmy się w szkole, tylko na basenie. Czasem chodziłam tam, żeby odpocząć, trochę się poruszać i ćwiczyć pływanie, które zupełnie mi nie szło. Na wodzie utrzymywałam się

tylko dzięki tym śmiesznym, kolorowym makaronikom, dawały mi pewność, że się nie utopię. Marcin też przychodził na ten basen i to zdecydowanie częściej niż ja. Był gwiazdą naszej szkolnej sekcji pływackiej, wygrywał większość, jak nie wszystkie zawody. Pewnego pięknego dnia, kiedy na makaroniku starałam się pokonać ostatnią długość basenu spytał, czy pomóc mi w nauce pływania. Byłam w takim szoku, że zapomniałam o ruszaniu rękoma i nogami, w szybkim tempie szłam na dno. Nie, w bohaterski sposób mnie nie uratował, zaczął się śmiać, złapał koniec tego nieszczęsnego makaronika i przyciągnął mnie do schodków. Tak to wszystko mniej więcej się zaczęło, w każdym razie tak wyglądała nasza pierwsza rozmowa.

Myśle, że byliśmy fajną parą. Jak się okazało, mieliśmy dużo wspólnych znajomych, interesowaliśmy się kinem, do którego często chodziliśmy, oboje lubiliśmy czytać książki fantastyczne i kryminały, a kiedy byliśmy na siebie o coś źli, to zdradzaliśmy sobie zakończenia książek i filmów. Te drobiazgi, które stanowiły nasze codzienne życie, połączyły nas. Lubiałam patrzeć, jak wieczorami gra w Fifę, mimo tego, że zupełnie nie rozumiałam jego sentymentu do tej gry, popołudniami oglądał ze mną seriale, niektóre z nich musiały go kompletnie nudzić, bo czasem zasypiał, kiedy ja z emocji zalewałam się łzami. W trzeciej klasie odebraliśmy cenzurki, przystąpiliśmy do matury, którą oboje zdaliśmy bardzo dobrze i jako młodzi dorośli wzięliśmy się za podejmowanie ważnych życiowych decyzji. Przekonał mnie, że studia historyczne nie mają najmniejszego sensu, że to kierunek bez przyszłości. Zamiast tego zdecydowałam się na dziennikarstwo i komunikację społeczną, patrząc z perspektywy czasu, nie wiem, czy jest to jakoś szalenie bardziej przyszłościowe. Marcin studiował transport i logistykę, kierunek, na którym nazwy przedmiotów brzmiały dla mnie równie tajemniczo co nazwy eliksirów z Hogwartu. Zamieszkaliśmy też razem. Jego rodzice

nie chcieli się na to zgodzić, nigdy mnie nie lubili. W sumie, nie wiem czemu. Chociaż nie, nie lubili mnie, bo ciągnęłam ich ukochanego, jedyne go synka w dół. Najpierw przeze mnie zrezygnował z pływania, a mógł przecież zdobyć światową sławę, potem zmusiłam go do mieszkania w tej małej, obskurnej kawalerce. Nigdy nie przyszło im do głowy, że to on sam podjął tę decyzję, bo kiedyś jeszcze mu na mnie zależało.

Do niedawna żyliśmy jak stare, dobre małżeństwo. Lubiłam to nasze poukładane, trochę nudnawe życie, składające się z różnych drobiazgów. Wspólne śniadania, kolacje, wypadki do kina na premiery. Nawet nauka do kolokwium w jego towarzystwie stawała się przyjemniejsza. On odpytywał mnie z etyki dziennikarskiej, a ja jego z jakichś kompletnie zwariowanych wzorów matematycznych. Tak szczerze, nawet nie zauważyłam, kiedy to wszystko przestało mieć rację bytu w naszej rzeczywistości. Skończyły się śniadania, kolacyjki, kino i spacerki po parku. Marcin zaczął później wracać z wykładów i ćwiczeń. Wiecznie wychodził na jakieś spotkania z ojcem. Przestał skupiać się na nauce. No cóż, ja też byłam zajęta, pisałam wtedy pracę licencjacką. Wieczorem, przed obroną, powiedziałam mu, że okropnie się boję. Marcin spojrzął tylko na mnie nieobecny wzrokiem i stwierdził, że w życiu czekają mnie gorsze rzeczy. Niestety miał rację. Następnego dnia poszłam na egzamin i obroniłam moją pracę. Niesiona, jak na skrzydłach wróciłam do domu. Powiem wam, że chyba nigdy nie byłam w takim szoku, jak wtedy. W naszej kawalerce zobaczyłam Marcina pakującego swoje rzeczy. Poprosił, żebym usiadła na sofie i powiedział wszystko, co można mieć do powiedzenia w chwili rozstania. Rodzice postawili mu ultimatum. Albo zakończy swój związek ze mną, albo może się pożegnać z przejęciem firmy po ojcu. Wszystkie te wieczory, które tłumaczyłam dłuższymi wykładami, okazały się spotkaniami służbowymi. A ploteczki z ojcem — rozmowami o podziale udziałów w spółce. Stwier-

dził, że zmarnował za dużo czasu na naukę, żeby teraz stracić firmę. Zamiast tego wolał stracić mnie. Kretyn. Ale wiecie co, jedno, z czego jestem dumna to to, że nie starałam się go zatrzymać. Zabrał swoje rzeczy, spojrzał na mnie smutno, powiedział, że muszę go zrozumieć i wyszedł z naszej kawalerki. Wyszedł z mojego życia. A ja, od dwóch tygodni, siedzę na tym przeklętym parapecie i nie wiem, co ze sobą zrobić. Nie umiem się odnaleźć, po prostu — mimo tego, że jestem na niego okropnie zła i czuję się zawiedziona, to tęsknię. Najzwyczajniej w świecie mi go brakuje. Tęsknię za śniadaniem, których nie chciało mi się robić, za kawą, którą razem piliśmy na balkonie i za tym, jak bardzo czekaliśmy na filmy, które po seansie okazały się kompletną kłapą. Te nasze wspólne drobiazgi stanowiły moje życie. No właśnie, drobiazgi. Zmiany w mojej teraźniejszości mogą zacząć od drobiazgów. Muszę się pozbierać. Teraz. Już. W tej chwili. Biorę do ręki telefon i piszę do mojego kochanego brata, czy możemy się jutro spotkać. Po kilku sekundach otrzymuję pozytywną odpowiedź. Jak zwykle dyplomata, uśmiecham się pod nosem. Ciekawe, co powie na wieść, że niedługo znów zamieszkamy razem. Znając go, pewnie się ucieszy, że nie będzie musiał już sam gotować. Upadłam, ale upadnę jeszcze wiele razy. Najważniejsze jest to, żeby wstać i ruszyć dalej z wysoko uniesioną głową, a z drobiazgów zbuduję moje nowe szczęście.